Tom II. Nr. 4.

1. Lutego 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW ŚMIAŁY
i
Święty Stanisław.

III.

Daleko, gdzieś za *Dunajem* na obczyźnie górą i lasem szedł sobie pielgrzym ubogi. Była to pora jesienna, słońce miało się ku zachodowi — powietrzem wysoko ciągną od północy żurawie, smutnie pokrzykując. Pielgrzym odsłonił szeroki kapelusz, co mu całą twarz zakrywał i zapatrzył się takiem okiem na odlatujące żurawie, jakby ich zapytać chciał, czy nie mają dla niego jakiej pociesznej nowiny. A gdy mu już znikło z przed oczu to ptactwo wędrowne, on jeszcze ku północy się zwrócił i długo, tak bardzo długo pozierał onym szlakiem zkąd nadciągnęły żurawie, aż póki mu łzami nie zapłonęły oczy, aż póki mu głowa umęczona nie opadła na piersi...

I puścił się dalej w drogę górą i lasem pielgrzym ubogi. Dokoła szeleściały drzewa suchym liściem, z głębi boru od czasu do czasu odzywało się ptactwo krzykiem wieczornym, a coraz większa nastawała ciemność od wschodu. — Podróżny zatrzymał

się i począł pilnie oglądać za jaką dróżyną, co by go z lasu wywiodła i zaprowadziła między ludzi na gościnę. I gdy tak patrzy niepewny w którą stronę się udać, na raz z boku gdzieś niedaleko dał się słyszeć miły głos dzwonka na Anioł Pański. Za tym głosem ruszył pielgrzym na prost, przedzierając się przez gęste krzaki i chaszcze.

Niebawem wydostał się z lasu na równe pole. O jakie sto kroków przed sobą widzi stojący klasztor, opasany wysokim murem do koła. Noc już zapadła na piękne; podróżny podwoił kroki. Skoro stanął przed zelażną bramą, ujął za młotek wiszący i uderzył nim po trzykroć, aż się rozległo po całym klasztorze.

Kto tam? zapytano z wnętrza.

Pielgrzym nie odezwał się; stał sobie spokojnie i czekał póki mu nie otworzą.

— Czy nikt nie odpowiada? pytają znowu za bramą.

Ale i tą razą milczał podróżny jak przeklęty.

Nareszcie po niejakiej chwili z okienka, co było nad samą bramą, wychyla się podgolona głowa mnicha.

— Bracie! zawoła on na dół do nieznajomego — dobijać się umiesz porządnie, a języka żal ci na odpowiedź. Czego chcesz?

Na tę przemówkę pielgrzym złożył ręce na piersi, pokłonił się nisko, a potem twarz bladą podniósł do mnicha, wskazał ręką na usta że mówić nie umie i na bramę, żeby mu z łaski otworzono.

— Aha, niemowa! poszeptał mnich — to co innego. I czem prędzej skoczył na dół do bramy i wpuścił ubogiego pielgrzyma do klasztoru.

A trzeba wiedzieć, że dawnemi czasy pielgrzym bywał w każdym domu pożądanym gościem. Zwiedzając dalekie kraje i różne miejsca święte, miałci taki gość zawsze coś ciekawego na podorędziu do opowiadania, i rozmaitemi powiastkami gospodarzy bawił. Toć i teraz na widok szerokiego kapelusza, jaki zazwyczaj używali pielgrzymi, wielce się ucieszyli w klasztorze. Ale niedługo było i po radości, skoro się dowiedzieli że gość ich niemowa. Zresztą i cała jego postać nie zapowiadała bynajmniej zabawnego człeka, raczej patrzał on na bardzo nieszczęśliwego

i pobudzał do litości. Posadzono go w izbie gościnnej za stołem, podano skromne jedzenie aby się pokrzepił, ale on niczego się nie tknął choć go bardzo proszono. Nareszcie ofiarowano mu kącik wolny na przespanie się — i widać że był mocno zmęczony, bo też zaraz wstał, pokłonił się i odszedł na spoczynek.

A w całym klasztorze wielka była ciekawość: Co on za jeden i za co taki nieszczęśliwy?...

Nazajutrz skoro przedzwoniono na pierwszą mszę, jużci i pielgrzym pojawił się w kościele. Podczas całego nabożeństwa krzyżem leżał, a kiedy się już wszystko skończyło i zakonniki wychodzili z kościoła, on wstał najpóźniej i szedł powolnym krokiem za nimi. Po drodze spotkał tego samego mnicha, co mu bramę otwierał. Ujął go za rękę i cosik mu na migi pokazywał, czego na razie tamten nie umiał zrozumieć; aż powoli odgadł że niemowa chciałby się z przełożonym widzieć, i zaprowadził go do niego. — Widząc się sam na sam z przełożonym, pielgrzym rzucił się duchem na kolana i jął się przed nim srodze bić w piersi, jakoby rzekł:

— Ojcze! jam wielki grzesznik.

Potem zwrócił smutne oczy ku niemu i patrzył długo, bardzo długo, aż ksiądz starszy zrozumiał że grzesznik szczerze żałuje i chciałby czynić pokutę. Natenczas niemowa wstał z ziemi, chwycił przełożonego za rękę i powiódł go ze sobą do kuchni, gdzie była służba klasztorna. Tam odrzucił precz kij i kapelusz, zakasał rękawy u sukni i wziął się pilnie oglądać po całej kuchni. Wszyscy stali zdumieni, nikt nie wiedział co to ma znaczyć?... Tymczasem niemowa przepatrzył sobie dobrze całą służbę i co który robił. I przystąpił do najlichszego z posługaczy, odebrał mu z rąk jego robotę i sam się szczerze do niej zabrał, a na księdza przełożonego z nową pozierał prośbą, jakoby rzekł:

— Ojcze! pozwól mi być najlichszym sługą w klasztorze.

Cóż było robić? odmówić mu nie miał serca przełożony, skoroć tak żałośnie prosił. Więc zezwolił, i on dziwny pielgrzym został odtąd na wysługach w klasztorze. I byłać tem większa ciekawość u wszystkich: Co za jeden? i dla jakiego grzechu samochcąc skazał się na taką pokutę?.... Ale na nieszczęście nie było komu zaspokoić ich ciekawości! — W takim razie, jak

to zwykle bywa między ludźmi, zaczęli się niby to prawdy domyślać, wygadując niestworzone rzeczy; zwłaszcza słudzy to już po całych wieczorach spierali się o to między sobą, i różne, przeróżne bajki układali na swojego nowego kamrata.

Powiada jeden: Wiecie co, mnie się tak wszystko zdaje, że to musiał być jakiś wielki czarownik co się diabłu zaprzedał. Ale jak sobie rozmyślił co go na potem czeka za taki figiel, że to piekłem nie na żarty pachnie, tak ci się postraszył nieboraczysko i czmychnął do klasztoru na pokutę.

— Ale! czarownik! prawi drugi — Nie patrzy on mi na czarownika! prędzej powiedziałbym że to jakiś herszt rozbójników, co....

— Nie prawda! zakrzyczał trzeci, nie dając temu nawet dokończyć. — Przypatrzył ja mu się doskonale i dalipan że nie widzę w nim ani jednego ani drugiego. Hej, hej, kto wie, bywają i takie wypadki! co byście na to rzekli gdybyć się wykazało, że to jakiś pan wielki, a może książę albo nawet i sam król, czyniący pokutę? he! a ja bym złamanego szeląga za to nie dał, czy tak w rzeczy samej nie jest. Wszak ci niedawno temu, pamiętacie, kiedym tego nicpotem Franka chciał obić za plotki, jakie porobił fałszywym sposobem na mnie i na kucharza przed bratem szafarzem, a on niemowa wtedy ujął się za nim, a jam go w gniewie będąc aże odtrącił, bom chciał koniecznie postawić na swojem i przetrzepać Franusia po skórze?

— Aha, prawda, prawda! potakiwała reszta.

— Jakżeż on mi się wtedy nie pastawił srodze, ten niemowa! wszyscyście tam byli, a żaden ani mur mur, jak trusie staliśmy przed nim, takci jakoś groźnie i wspaniale wydał nam się w tej chwili.

— Tak, tak! zawtórowali wszyscy do koła.

Tu znowu pierwszy pochwycił za słowo: — A co ja mówił? nie na mojeż wychodzi, że to jakiś czarownik, co się tak na raz potrafił zmienić, ażeśmy go poznać nie mogli?

Drugi zaś, co go chciał mieć za rozbójnika, zawołał: — Oho, ja bym się był założył, mojeściewy, o nie wiedzieć co, że widzę herszta rozbójników przed sobą, taki mi się wtedy srogi wydał.

— A ja zasię prawię swoje — dodał trzeci — że tu nie kto inny czyni pokutę, jeno sam król.

Takie i tem podobne gadania można było słyszeć co wieczora w klasztornej kuchni. —

Tymczasem niemowa pełnił swoją służbę należycie, pracował za dziesięciu a do jedzenia był zawsze ostatni; co rano zaś leżał krzyżem w kościele i takoż w nocy, jak zauważano, do późna klęczący się modlił. Do tego skromny był i potulny jak dziecko, nikomu na włos nie uchybił, każdemu pierwszy ustępował z drogi — raz jeno szczególnie co się był ostro postawił, jak już wiecie, ujmując się za onym Frankiem, któregoć za jakieś tam plotki mieli poturbować. No, to i nic dziwnego, żeć takiem pięknem zachowaniem się powoli wszystkich sobie pozyskał. I jużci nawet od jakiegoś czasu nie trapiła ich zwykła ciekawość: kto jest ten co tak srodze pokutuje. — Aż tu jednego dnia, ni ztąd ni z owąd nadniosło licho onego Franka wściubinosa z nowiną, która wszystkich wprowadziła na nowo w ciekawość.

Owóż powiadam, razu jednego pod sam wieczór wpada Franek jak szalony do kuchni, a już od samego progu począł wrzeszczeć: — Co ja wiem, he, he, co ja wiem!

Naturalnie iż każdy co tchu nastroił ucha i rad był się dowiedzieć, co też Franek wie.

— Aj, aj, gdybyście wy wiedzieli, kędy to nasz niemowa co wieczór łazi! powiada chłopiec dalej.

Wszyscy poglądali po sobie.

— A prawda, prawda! zawołali całą kupą — nie ma go tu między nami, i tak co wieczór. Powiadasz Franku, że kędysik łazi?...

— A łazi, niech go kule biją! ta żebym wam kazał zgadywać do jutra nie odgadlibyście, gdzie?...

— Owa! któryś tam sobie zadrwił, co znowu chłopca rozgniewało.

— Kiedyś taki mądry — powiada — to zgaduj!

Aleć reszta nie dała mu spokoju. Zakrzyczano go zewsząd: — Gadaj ty, co byś na niego zważał! gdzie? gdzie?...

— Na wieży! krótko powiedział Franek i wziął się pysznie pod boki, jak gdyby mówił: A co, nie nowinaż to dla was?...

W klasztornej kuchni powstał rejwach niesłychany.

— Co ty gadasz, Franek! wołano ze wszystkich stron — Chyba cyganisz?

— Jak Boga kocham! zaklął się chłopiec.

— Ale cóż on tan robi, u licha?!

— Zobaczcie sami.

I podskoczył Franek ku drzwiom, a za nim całą kupą wysypała się reszta na dziedziniec. Z tamtąd przeprowadził ich boczną furtką do ogrodu, wskazał im na wieżycę od północnej strony, żeby się popatrzyli, a sam co tchu pędził z tą samą nowiną nazad do klasztoru.

Wysoko sterczała wieża po nad kościołem. U samego jej wierzchu był ganek żelazny, na który rzadko się kto dostawał, chyba robotnicy jeśli mieli co poprawić na wieży. I tam to według opowiadania Franka miał co wieczora łazić ów niemowa. Niedziw więc że się tak wszyscy rozciekawili, i że teraz z taką chciwością poglądali ku wieży, czy go nie zobaczą. Aliści właśnie wtedy jakby na umyślnie, schował się księżyc za chmurę i na próżno zrywali sobie oczy w ciemności. Wypadało przeczekać aż się wyjaśni. Tymczasem i księża zakonnicy nadciągnęli z klasztoru na to widowisko. — Od północy dął wicher srogi, i gwałtem posuwał chmurę naprzód. Noc stawała się coraz widniejsza. Chwilkę cierpliwości!... już już koniec chmury i blada światłość księżyca co raz bardziej pokazywała się na niebie.

— Widzicie go, o, o!... zawołał nagle Franek, ukazując palcem na ganek u wieży.

— To on, nasz niemowa! podziwiło całe zgromadzenie ciekawych, patrzące na ganek, zawieszony u szczytu wieży, gdzie się teraz w księżycowem świetle wyraźnie ukazała postać ludzka. Był to na prawdę on pielgrzym pokutujący w klasztorze. Wszyscy go od razu poznali. Stał on nieruchomo jak kamienna figura, ciałem wspaniale wyprostowany, nie taki jakim bywał zwykle w obec ludzi. Włos długi i czarna broda chwiały mu się od wiatru, a zaś lica bledsze od samego miesiąca zwrócone miał ku północy. I zdało się tamtym patrzącym: jakoby on z góry poglądał daleko, gdzieś tam za *Dunaj*, ku północy

tęskniący, i jakoby pilnie nadsłuchiwał, czy mu z tamtych stron wicher północny nie nadniesie jakiej pociesznej nowiny. Tak to im się wszystkim wydało, patrzącym z dołu. Ale czy w tem była jaka odrobina prawdy?..... może się kiedyś dowiemy.

I znowu pociemniało od chmury. W ogrodzie nikt się nie ruszył; ciekawi byli jak też długo niemowa zabawi na wieży. Ale gdy się na nowo wypogodziło, jużci go więcej nie zobaczyli.

Skoro powracali do klasztoru, widzą że w czeladnej izbie jak zwykle niemowa klęczał wedle swego łóżka i gorąco się modlił. Odrywać go od modlitwy jakoś nie wypadało — odłożyli więc ciekawość swoją na jutro.

Aliści rychło świt wpada znajomy nam Franek do brata szafarza. Na twarzy pokazywał że ma jakąś niepocieszną nowinę.

— Co mi powiesz, chłopcze! zapyta brat szafarz.

— Proszę jegomości, prawi chłopak żałośliwie — nasz niemowa chory, bardzo chory!

Braciszek aże się przeżegnał, tak go ta wiadomość zaszła niespodzianie.

— Cóż mu się stało, tak nagle?

Chłopiec poruszył ramionami: Albo ja wiem!

— Matko najświętsza! a to trzeba zaraz o tem księdza starszego zawiadomić.

— Jużci że trzeba. Ja zaś wracam do chorego, może mu wypadnie czem się przysłużyć... on taki dobry!... zawodził Franuś na pół z płaczem i puścił się w dyrdy do chorego. — Tymczasem brat szafarz skoczył po księdza starszego.

W zakątku czeladnej izby na ubogiem posłaniu leżał niemowa. Śmiertelna niemoc patrzyła mu z bladej twarzy, oczy miał zamknięte niby spiący, a ręce na piersiach złożone jak do modlitwy. W pobliżu stał Franuś rozżalony; dalej nieco ku drzwiom zgromadziła się czeladź w jedną kupkę i rozmawiała po cichu między sobą. Niezabawem poczęli się i mnichy jeden za drugim ściągać do izby. Każdy szedł naprzód do chorego, przypatrzył mu się z bliska, pokiwał głową i cofnął się ku oknu do swoich co już tam pierwej przybyli. Nareszcie nadszedł

przełożony klasztoru z bratem szafarzem. Wtedy chory otworzył oczy i z wielką biedą podniósł się na łożu. Wszyscy zwrócili się w tę stronę — na izbie stała się cisza gdyby makiem zasiał.... a w tej chwili niemowa przemówił:

— Bliska śmierć, słabym prawi głosem — rozwiązała mi usta, które na czas pokuty z dobrej woli zamknąłem. — Dalej nie mógł mówić, bo w izbie na taką niespodziankę powstał gwar między ludźmi. Skoro się uciszyło, on tak dalej począł: — Proszę was, posłuchajcie kruciuchnej historyi, co wam tu opowiem; będzie to moja ostatnia spowiedź.

Ludziska mało co ze skóry nie wyskoczyli z ciekawości; każdy jeno uszy nastroił i oddech w sobie zaparł, żeby broń Boże najmniejszego nie utracił słówka.

Opowiadał chory: — Był sobie król, mocarz nad mocarze co władał szerokim krajem. Na imię było mu Bolesław, a ludzie dodawali: *śmiały* iż się nie bał nikogo w świecie. — I znowu w tym samym kraju zamieszkał biskup nad biskupy co nic nie zważał na ziemskie dostatki i wszystko między ubogich rozdawał. Na imię było mu Stanisław, a ludzie dodawali: *święty* iż miał wielką łaskę u Boga. — I długo działo się dobrze w onym kraju, gdzie był król taki śmiały i biskup taki święty. Aż po latach inaczej się stało: król zmienił się w srogiego pana i począł rozmaite wyprawiać brewerje — za co biskup raz i drugi nabrał go z góry, bo mu żal było ludzi, co musieli znosić tyle niesprawiedliwości. A oto zły duch poszepnął królowi: zabij biskupa, co on ma tobie rozkazywać!... I takci też zrobił król jak mu zły duch poszepnął: i zabił świętego biskupa. —

Ciężkie westchnienie zatamowało mowę choremu. Zamilkł ale nie na długo — wnet zebrał się na dalsze opowiadanie:

— Odtąd dla króla mordercy smutne nastały czasy! dniem i nocą gryzło go własne sumienie i tak przez rok cały, aż póki go nie wygryzło z kraju, z ojczyzny jego. Poszedł król na wygnanie. Długo tułał się po obcej ziemi, ale nigdzie spokoju nie znalazł — wszędzie prześladowała go krew Świętego. Aż pychę z serca złożył, przebrał się w suknię pielgrzymią, wziął kij do ręki i ruszył w daleką drogę, górą i lasem. Na pokutę on szedł do klasztoru... i trafił, dziękować Bogu, do waszego klasztoru. —

Przez chwilę zdało się wszystkim jakoby ich sen omamił, tak ani daj Boże uwierzyć w to co na własne słyszeli uszy. Pierwszy był przełożony co się opamiętał:

— Toś ty król?! zagadnie wielce zdziwionym głosem.

— Jestem nim! odrzeknie chory — ja Bolesław śmiały, król polski co zabił Stanisława, Świętego Biskupa w Krakowie. Oto mój znak królewski, mówił dalej, dobywając z zanadrza złoty pierścień i oddając go w ręce księdzu starszemu — Przekazuję go waszemu klasztorowi na wieczną pamiątkę i zarazem na świadectwo, jako prawdziwie w tem tu miejscu odbywałem moją pokutę. A jeśli kiedy ktoś z Polski, ojczyzny mojej, zawita w te strony i wasz klasztor odwiedzi, to mu ukażcie ten pierścień złoty, jako pamiątkę po królu Bolesławie i powiedzcie mu żeby nie mniał najmniejszego żalu do króla swego, ani on ani kto bądź w całej Polsce, na teraz i na później, bo król bardzo kochał Polskę! i że co wieczora z onej wieżycy przy kościele wyglądał ku północy, srodze za nią tęskniący. I powiedzcie mu także jaka była moja pokuta, jaka śmierć moja; i że święty Stanisław sam przebaczył królowi i podał mu rękę na pojednanie, co się stało właśnie dzisiejszej nocy. A potem zaprowadźcie go na mój grób, niech się pomodli za Bolesławem na wieczny mu odpoczynek...

W tej chwili dziwna jakaś wesołość wystąpiła na lica królewskie. Oczy zamknął a ręce wyciągnął przed siebie, i jakby we śnie marząc, odezwie się słabiuchnym głosem: — Idę, już idę, święty Stanisławie, kiedy mię wołasz do siebie. W Imię Ojca i Syna i ducha świętego... I z lekka pochylił się na posłanie; a wszyscy myśleli że król zasnął a to już było jego skonanie. —

Taki był koniec naszego Bolesława śmiałego. — Zachowujcie go w miłej pamięci!

TRZY PLAMY.

Biegnie biały koń przez pole,
A krew błyszczy mu na czole;
Biegnie biały koń po niwie,
A krew błyszczy mu na grzywie;
Biegnie biały koń po drodze,

A krew błyszczy mu na nodze.
Aż już zarżył, jest u bramy,
A trzy na nim krwawe plamy.

„Witaj, witaj, koniu biały!
Czemuś drzący i spotniały?
Gdzież twój Pan? Czy tam w pobliżu
Zmówić pacierz kląkł przy krzyżu?
Czy u studni odpoczywa,
A z kurzawy twarz obmywa?
Prędkoż wyjdzie już na wzgórek,
Do synka, do dwóch swych córek?“

Starsza córka wnet wybiegła,
Krwi na czole nie postrzegła;
Młodsza konia pogłaskała,
Krwi na grzywie nie dojrzała;
Ale synek puścił z ręki
Swe zabawki, kląkł maleńki,
Konia w nogę pocałował,
Krwi się ojca użałował.

S. W.

O MĘCZARNIACH

za wiarę świętą katolicką.

Opowiadanie.

Słyszymy często w kościele o okropnych mękach, któremi pogany dręczyli pobożnych katolików. Bogu dzięki, że dziś już koniec pogańskiej wierze, że nie ma już w naszym kraju bałwanów z drzewa i z kamienia, ale sam Pan Bóg jeden niewidomy na wysokościach; że w mieście Rzymie już nie mieszkają pogańscy cesarze, ale sam Papież, Ojciec święty!

Tak jest, powiadam, nie ma w naszym kraju pogaństwa, a razem z pogaństwem powinny by też przepaść męki i prześladowania za wiarę. — Już to w naszej Polsce najwięcej jest i było katolików, ale są też i Żydzi, Lutry, Kalwini i ludzie innej religji a przecież nigdyśmy nie przymuszali ich gwałtem, aby przeszli na naszą wiarę. Prawda, żeśmy mówili do nich: „Patrzcie! oto kościoły nasze otwarte, toż przyjdźcie i posłuchajcie słowa Bożego a niech was oświeci święta Ewanielja!“ — prawda żeśmy tak mówili, żeśmy zachęcali ślepych aby przejrzeli, ale na tem i koniec.

Tymczasem heretyki inaczej obchodzili się z nami!

Za naszego już życia tysiące naszych braci cierpiało od nich męki za wiarę. Długa to i smutna historja, to też teraz część wam tylko opowiemy.

Daleko ztąd, bo z jakich sto mil za kordonem, na ostatnim końcu naszej Polski jest spore miasto, które nazywa się Witebsk. Na około po wsiach i miasteczkach mieszka tam lud mówiący tak samo jak i my i tak samo katolicki z dziada i pradziada. Lud to spokojny i cichy: pracował w polu, modlił się po kościółkach, dawał zresztą cesarzowi rosyjskiemu rekruta, płacił podatki i nikomu w drogę nie właził. Przecież na lud ten przyszła okropna próba. Dwadzieścia lat temu będzie, jak Moskale umyślili odebrać im to co mieli najdroższego, to jest mowę i wiarę ich ojców i przymusić ich do swojej moskiewskiej mowy i wiary. Trzeba wiedzieć że właśnie w tym roku był głód wielki, tak że ludzie gotowali korę z drzewa, pokrzywę i inne takie rzeczy aby się wyżywić. To też Moskale na zmyślny wzięli się sposób: obiecywali korzec mąki i trzy korce kartofli każdemu, który poszedł do urzędu i dał się zapisać na wiarę moskiewską, czyli jak oni to nazywają: *prawosławną*. Ale nie udała się ta sztuka; ludzie odpowiadali, że nie mają wiary swojej na sprzedaż i wolą życie stracić niż duszę. — Wtedy moskiewscy urzędnicy wzięli się do innego sposobu. Rozgłosili po kraju cesarski nakaz, aby wszyscy katolicy przeszli na prawosławną religję; a kiedy i to na nic się nie przydało, dopiero gwałtem i mocą zaczęli zmuszać ludzi. Komisarze cesarscy z wojskiem i żandarmami jeździli od wsi do wsi, odbierali klucze od katolickich kościołów i cerkwi, poświęcali je na moskiewskie czyli prawosławne, porywali przez siłę katolickich księży, którzy nie chcieli się wyrzec swojej wiary i osadzali na ich miejscu moskiewskich szyzmatyckich popów i cały lud zapisywali na moskiewską wiarę. A niech no by kto opierał się tej robocie! W dziesięciu książkach by nie zapisał co tam było w całym kraju płaczu i lamentu, co gwałtów, bicia i katowania! Dosyć że wszyscy trzymali się razem, jako dzieci jednej matki: i księża i szlachta i ludzie prości — to też wszyscy jednakowo ucierpieli. Ze stu takich było dziedziców, którym Moskale odebrali dobra

a samych wywieźli na Sybir, co jest kraj zimny, zawsze pełny śniegu i lodu, o tysiąc mil od nas. To samo się stało także i z wieloma księżami. — Inszych jeszcze okropniej karano: i tak jednego, który był kanonikiem, przymusili że musiał zostać kościelnym u moskiewskiego popa; drugiemu znów, a nazywał się ksiądz Alexander Zabiełło, kazali być u tego popa prostym niewolnikiem — musiał mu drwa rąbać, wodę nosić i kopać w ogrodzie. — A cóż dopiero mówić o ludziach prostego stanu! Mnóstwo ich pod kijami kaleczało na zawsze a nawet oddawało ducha! a ilu zabrano w rekruty! ilu jęczało po podziemnych lochach! Był cały jeden taki miesiąc, że w mieście Witebsku nie było próżnego więzienia: tylu tam siedziało niewinnych aresztantów. — Po innych wsiach jeszcze straszniejsze działy się rzeczy: gdziekolwiek lud nie chciał odstąpić od wiary swoich ojców, tam krew lała się strumieniami i wsiąkała w ziemię. W jednem miejscu się zdarzyło, że żandarmi właśnie gnali całą gromadę do szyzmatyckiej cerkwi, gdy w tem wyrwało się ze trzydzieścioro ludzi i uciekło w bok na staw, nie całkiem jeszcze zamarznięty, wołając, że wolą prędzej zginąć niż odstąpić świętej katolickiej wiary. Otóż żandarmi tak długo walili w lód drągami i kamieniami aż pękł, i wszyscy co tam uciekli, poszli pod wodę... A było między nimi z pietnaścioro starców, kobiet i dzieci. W żadnej książce nie są zapisane imiona tych świętych męczenników, tylko chyba jeden Pan Bóg je zapisał...

Ale nie skończył bym do jutra, opowiadając wam wszystko, co się działo po wsiach około Witebska w owym okropnym czasie. Bo też i dreszcz człowieka przejmuje na samo wspominanie o takich cierpieniach i mękach, chociaż przy strachu tym jest i jakaś radość z tego, że nasi bracia znieśli wszystko odważnie i wytrwali przy wierze swoich ojców. Opowiem wam tylko co się działo w jednej tamtejszej wsi, nazywającej się *Dziernowicze*.

Wieś ta należała do pana Antoniego Korsaka. Pan ten pochodził jak się zdaje od błogosławionego Kazimierza, o którym mówiliśmy wam już dawniej — to też sam był bardzo pobożny i litościwy, i podobnie jak błogosławiony Kazimierz, Korsak kochał swoich poddanych. Bo też te Dziernowicze szczęśliwa była to wieś! oprócz takiego pana miała i księdza siwego jak gołąbek

i jak gołąbek dobrego. — Ale nie długo było tego szczęścia. Zjechał moskiewski komisarz z żołnierzami i szyzmatyckim popem aby odebrać klucze od kościoła i zapisywać lud na prawosławną wiarę. Zgromadzili się chłopi przed kościołem a z nimi razem stanął dziedzic i proboszcz. Komisarz widząc że dobrowolnie nie oddadzą mu kluczów, chciał je gwałtem odebrać. Wtedy dziedzic porywa te klucze i rzuca w środek gromady wołając: „brońcie co wasze!“ Na to żołnierze wpadają pomiędzy lud z pałaszami. Nikt nie oddał kluczów, musieli je odebrać z rąk starca, który pierwej dostał dwie śmiertelne rany. — Dopiero wtedy zaczęły się bolesne rzeczy. Kościół katolicki poświęcono na moskiewski i lud zapisano na tę wiarę, a księdza razem z panem wysłano na Sybir do onego kraju, gdzie wieczna zima. Ale ksiądz już tam nie dojechał: biedny staruszek umarł z żalu w pół drogi i przygniata go teraz ciężka bo obca ziemia..... Wieczny niech mu będzie odpoczynek, a światłość wiekuista niechaj mu przyświeca!

Teraz dopiero gorżkiem stało się życie dla włościan dziernowickich. Kiedy w pierwszą niedzielę nowy moskiewski pop kazał dzwonić na prawosławną mszę, ani jedna dusza nie wyjrzała z chaty. Każdy płacząc modlił się w domu, zatykając uszy od głosu tych dzwonów, które dawniej tak były miłe, ale dzisiaj już na moskiewskie nabożeństwo wołały. Każdy uciekał jak najdalej, i od kościółka w którym teraz prawosławny pop odmawiał swoją mszę, i od popa tego, którego dali im zamiast dawnego ich proboszcza. — I tak długo, bardzo długo trwało, bo przez całych ośmnaście lat. Bracia nasi wytrwali przy wierze swoich ojców, chodzili się po kryjomu spowiadać do dalekich kościołów, o dziesięć mil a nawet i więcej, sami chrzcili nowonarodzone dzieci i umierając nawet woleli westchnąć tylko szczerze do Boga, aniżeli przyjąć prawosławną komunię. I tak ośmnaście lat czekali, czy nie wróci się ich pan, czy nie wróci proboszcz. Proboszcz na nieszczęście nie mógł już powrócić, bo był u Pana Boga, ale w ośmnastym roku nastał nowy cesarz i ten wypuścił pana Korsaka z Sybiru. Wrócił więc dziedzic a z nim razem wróciła do Dziernowicz nadzieja, że przecież będzie lepiej. Zgromadzają się więc chłopi i piszą podanie do cesarza, prosząc aby im dozwolił zostać katolikami. —

Nie spodziewali się biedacy co ich za to spotka.... Na wiosnę dwa lata temu będzie, jak to wszystko się działo. Każdy z nas pracował spokojnie i ani mu się śniło, co tam właśnie wtedy cierpieli nasi bracia. Zaledwie trzy miesiące minęło od podania prośby do cesarza a już ci zjeżdża do Dziernowicz cała komisja moskiewskich urzędników i popów, a z nimi dwie kompanje wojska. Ciągną jednego gospodarza po drugim, pytają kto radził podawać prośbę do cesarza, kto ją układał i pisał i kto odmawiał lud od prawosławia. Ale włościanie dziernowieccy pokazali że żaden z nich nie był zdrajcą, bo żaden nie powiedział ani słowa. Daremnie komisarze moskiewscy bili ich kułakami po głowie i siekli rózgami: niczego nie mogli się dowiedzieć. Panu Korsakowi aż serce pękało z wielkiego żalu, to też ujął się za swoimi poddanymi i chciał ich bronić. Wtedy starszy komisarz obstawił cały dwór żandarmami i nie pozwolił dziedzicowi na krok nawet wychodzić, aż się wszystko skończy a sam dopiero na dobre wziął się do katowania gromady. I trwały takie męki przez półtora miesiąca; niejednego po trzy a nawet i cztery razy brali do czarnej sali i do krwi ćwiczyli rózgami, tak że omdlewał, a przytem żołnierzów rozłożyli po chałupach na kwaterę, aby dzień i noc nie dawali ludziom spokoju, ale wciąż ich namawiali do prawosławnej wiary. — I w całej gromadzie jeden tylko człowiek się znalazł, który zbity i osłabiony dał się zapisać na prawosławie. Józef mu było na imię. Ale ten trzech dni nawet nie dożył i ze zmartwienia sam się powiesił na drzewie, podobnie jak Judasz co zaprzedał Chrystusa. Wszyscy inni trwali przy świętej wierze a żaden ani nie jęknął pod kijami. Wtedy znalazł się we wsi gospodarz, imieniem Wincenty, który postanowił sam siebie poświęcić aby drugich tem uratować. Staje przed komisją i bierze na siebie całą winę — to też za to Moskale wyrywają mu włosy, wybijają zęby, okładają kijami tak że przez dwa tygodnie nic nie wiedział o świecie, a nakoniec wywożą go do Witebska, rzucając do więzienia i jak prostemu złodziejowi albo rabusiowi każą mu w kajdanach pracować po ulicach i rynkach. O! niech Pan Bóg pokrzepi tego nowego polskiego męczennika.

Ale Wincenty poświęceniem swojem na męki i katowania nie potrafił wykupić od cierpień reszty swoich braci. Lud dzierno-

wicki ani chciał słyszeć o prawosławiu, to też przyjechał nakoniec wyższy cesarski urzędnik, nazywający się senator, i kazał się zgromadzić wszystkim gospodarzom. Kiedy się zeszli na dziedziniec, wtedy senator występuje przed nich w paradnym mundurze a w koło niego mnóstwo urzędników w mundurach i przy pałaszach. I odezwie się do nich senator: „Przyjechałem tutaj do was od cesarza, aby wam powiedzieć, że musicie przejść na prawosławną wiarę. Cóż, czy zgadzacie się?“ — Ale lud na to kłania się i odpowiada: „Jaśnie wielmożny senatorze! my cesarza słuchamy i szanujemy wolę jego we wszystkiem, co nie tyczy się sumienia naszego i duszy; płacimy podatki, dajemy w rekruty najtęższych chłopców, lecz wiary świętej nigdy nie odstąpimy!“ — A na to senator: „To wy buntownicy! wy sprzeciwiacie się woli cesarza, a wola cesarza to wola Boga! Powiedźcie kto was buntuje, wydajcie swoich przywódźców, abyśmy ich ukarali, bo jeśli nie to wszyscy pójdziecie na męki i na Sybir! Ani żon, ani dzieci własnych więcej nie ujrzycie!“ — Na to zaczął się między ludem okropny płacz i lament. Wszyscy jednym głosem zawołali: „Jaśnie wielmożny senatorze! my wszyscy jesteśmy przywódźcami, bośmy wszyscy katolicy. Gotowiśmy na Sybir i na śmierć nawet, ale wiary naszych ojców odmienić nie możemy. Pozwólcie nam, podobnie jak żydom i lutrom, chwalić Boga jak go chwalili ojcowie nasi, bo my prawosławia nie znamy i nie chcemy!“ — Ale senator zaśmiał się tylko na ten płacz i na te lamenta i rzekł: „Ostatni raz powtarzam wam cesarską wolę, że musicie odstąpić od katolickiej wiary. Przytem powinniście wiedzieć, że cesarz jest posłannikiem Boga: Bóg na niebie, cesarz na ziemi! Kto się sprzeciwia cesarzowi, ten się Bogu sprzeciwia. Cesarz chce i Bóg chce abyście byli prawosławnymi. Macie całą noc do namysłu, a jeśli jutro wszyscy nie zejdziecie się do cerkwi i komunji prawosławnej nie przyjmiecie, wtedy to się z wami stanie, co z tymi dwoma ludźmi.“ I tu kazał senator chwycić dwóch starców, którzy stali na przodzie gromady i dać każdemu z nich po pięćdziesiąt rózeg, i skrwawionych jeszcze i niewiedzących o świecie wrzucić do ciemnego lochu. —

I przeszedł potem cały dzień i noc minęła, a żadne oko w całej wsi się nie zamknęło; wszyscy płacząc modlili się i cze-

kali jutra. Nareszcie pokazało się słońce i dzień biały; skowronki śpiewały w powietrzu, niebiesko w górze, zielono na ziemi, ale w sercach gromady tak smutno jakby w ciemnym grobie. Nakoniec w dawnym kościółku a teraźniejszej szyzmatyckiej cerkwi pop moskiewski kazał uderzyć we wszystkie dzwony, zwołując ludzi na prawosławne nabożeństwo. Ale nadaremnie czekali Moskale, lud pamiętał na groźby senatora a przecież żaden nie poszedł do cerkwi. Wtedy senator stał się nie jak człowiek ale jak wściekłe jakie zwierzę i na nowo zaczęły się bicia i inne męczarnie.

Ale dosyć już opowiadania o tych mękach. Człowiek wypłakałby oczy, płacząc nad takiem nieszczęściem! Nikt nie zrachowałby ran które włościanie dziernowieccy odnieśli za wiarę świętą katolicką, ale u Pana Boga każda łza ich stała się kosztowną perłą, a każda kropla krwi przelana drogim koralem, a każde westchnienie cudownym i złocistym ptaszkiem!

Nareszcie senator nie mogąc sobie już inaczej poradzić z gromadą, kazał żołnierzom wypędzić ludzi z chałup, zbierać do kupy i tak razem pędzić do cerkwi jak trzodę. Broniła się gromada jak mogła; niejeden czepiał się klamki i drzwi cerkiewnych, wtedy im siekierami i pałaszami odrębywali palce. Skoro tylko wszyscy stanęli w cerkwi, wystąpił pop moskiewski i nie słuchając nawet spowiedzi, nie pytając się czy który był na czczo czy też po śniadaniu, każdemu gwałtem pchał w gębę prawosławną komunję. Nie jeden przecież potrafił się obronić, ale i ci którzy musieli połknąć komunję nigdy już potem nogą nie postali w cerkwi i nie wyrzekli się wiary katolickiej. I tak pokazało się, że jedna gromada stojąc mocno przy świętej religji, którą razem z życiem i mową dostała od swoich ojców, potrafiła się obronić przed siłą i nie upadła aż dotąd, chociaż wciąż co kilka miesięcy zjeżdżają moskiewscy urzędnicy i zaczynają na nowo prześladowania. — To też zapomnijmy na chwilę o własnej biedzie a módlmy się do Pana Boga za nieszczęśliwymi naszymi braćmi. Panie! daj im odwagę i siłę aby wytrwali, chociaż ciało odpada im od kości a łzy krwawe płyną z ócz! Pozwól aby przynajmniej ich dzieci były szczęśliwemi!

Co starzy mówią.

Kto żyje w zgodzie z swymi sąsiady,
Kto się wystrzega kłótni i zwady,
I kto nie wchodzi w drogę nikomu,
Sam także święty spokój ma w domu.
Bo też to prawda co mówią starzy:
Że ten ma rozum co się nie swarzy,
I że jest lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**